

WŁODZIMIERZ ŻELECHOWSKI.

WIZJA.

...I z tego wnoszę, że pan byłby niezłym med-jum, kończył swe przemówienie Łowiński.

— Więc możemy spróbować — odpowiedziałem — chociaż sądzę, że wypadki, jakie mnie spotykają, nie mają...

Nagle drgnąłem. Właśnie przechodziliśmy koło miejsca, w którym przed dwoma laty zdarzyła mi się zadziwiająca historia. Na drugi zaś czy na trzeci dzień wyjechałem z tego miasta i oto dziś jestem w nim znowu po raz pierwszy od dwóch lat. Spotkawszy przypadkowo, prawie zaraz po przyjeździe, mego dawnego znajomego, spędziłem z nim niemal cały dzień, a teraz właśnie trafił zrządził, iż przechodziliśmy koło tego miejsca — miejsca, które przypominało mi owo dziwne przejście, o którym z biegiem lat zupełnie zapomniałem.

Zatrzymałem się, a Łowiński śnać wyczytał coś z mej twarzy, gdyż z wielkim zainteresowaniem zapytał o przyczynę mej bladości.

Istotnie! Czułem, że zbliżam się, gdyż rzecz, jaka mi się zdarzyła i wypadek bezpośrednio po tem, stanęły mi żywo w pamięci.

— Tak! — odpowiedziałem Łowińskiemu — tu w tem miejscu i na tej ławce, koło której w tej chwili stoimy, przeżyłem niezwykłą historję, znacznie przewyższającą to wszystko, co Pan o mnie słyszał.

— Ależ...

— Wiem, wiem — mówiłem dalej z uśmiechem — chce pan, bym opowiedział... Oczywiście, że opowiem, skoro już wogóle o tem wspomniałem. Jednak czynię to z wielką przykrością i gdyby pan zechciał mnie przecie zwolnić...

Za całą odpowiedź Łowiński pociągnął mnie gwałtownie na ławkę, poczęstował znakomitym jak zapewniał papierosem i z całą zachłanną ciekawością rzekł:

— A więc?

Nie było rady — zacząłem swoje opowiadanie:

— Przed paru laty, mieszkałem w tem mieście, jak pan wie, kilka miesięcy. Mój pobyt tu był ciągłą walką z piętrzącymi się trudnościami i przeszkodami. Oczekiwanie sprzyjającej chwili, w której mógłbym się stąd wydostać, zajmowało mi połowę myśli a zaostriżało fantazję i tak już dość bujną. Błądząc po ulicach, myślałem bywałem daleko od otoczenia.

I oto raz przechodziłem koło tego budynku. Zajęty swymi myślami szedłem wolno ze schyloną głową, gdy wtem potrafił mnie któryś z przechodniów.

— Przepraszam! — usłyszałem tuż prawie za sobą.

Podniosłem głowę, a oczom moim przedstawił się dziwny widok.

Stałem przed wielkim budynkiem, którego ściany pomalowane były szarą farbą. Przed jedną ze ścian nawprost mnie, rosły dziwaczne i dziwnie rozsądzone kwiaty. Tuż przy samej ścianie wystrzelały w górę żółte na długich łodygach i o wydłużonych kielichach. Ciążyły one wzdłuż ściany na kilkanaście kroków, dość szerokim pasem. W następnym pasie — przed nimi, t. j. już koło chodnika, rosły na nieco węższej przestrzeni kwiaty o silnej barwie czerwonej.

I proszę sobie wyobrazić pomieszanie takich dzikich kolorów na tle wysokiego, gładko-szarego muru! Żółto-czerwone kwiaty o drapieżnym wyglądem na tle szarego muru!..

Po chwili zaczęło to na mnie wywierać niezwykły wpływ. Z pomieszanych kilku na raz uczuć uświadomiłem sobie jedno:

„Ten obraz budzi we mnie uczucie grozy“.

Coś bardzo groźnego, coś krwiożerczego miały w sobie te kwiaty i ten szary mur.

Stałem tak chwilę i patrzałem, a dzikość tego miejsca miała taką siłę grozy, taką groźną siłę popełnionej zbrodni, że suggestywnie poczułem zapach krwi i — przestraszyłem się. Chciałem uciekać!

Obróciłem się i postąpiłem parę kroków. Wtem spostrzegłem tuż za mną ławkę. Mimo, że pragnąłem natychmiast odejść, że pełny byłem grozy i niewytłumaczonego wstrętu — mimo tego suggesty-

wne działanie tego miejsca silniejsze było nad moją wolę.

Nieprzychylnie prawie podszedłem do ławki, usiadłem na niej i nie mogąc już oderwać wzroku od kwiatów i ich tła, patrzałem — i patrzałem błędnie — coraz błędniej, aż wreszcie przestałem widzieć i niesamowite kwiaty i szary mur, a oczom przedstawił się nowy obraz.

Zobaczyłem ciemny i wąski korytarz. Był tak wąski, że ledwie jedna osoba mogła się nim przecisnąć. Zdawało mi się nawet, że w dali zwiężał się jeszcze bardziej. Gdzieś z jakiegoś ukrytego miejsca sączyło się mgliste światło obejmujące małym kręgiem część korytarzyka.

Właśnie starałem się odkryć wzrokiem skąd się wydobywa światło, gdy przesłonił mi je jakiś cień czy postać o dziwnym kształcie.

Przyjrzałem się baczniej i ze zdziwieniem zauważyłem postać człowieka. Stał skulony i przywarty do ściany, z której wyłaniało się to niewyraźne światło. Postać jego odcinała się tak stylizowanie na tle muru, że podobny był raczej do czarnej wycinanki nalepionej na biały papier niż do żywej istoty.

Trwał tak chwilę bez ruchu a czujnie, poczem odwrócił ostrożnie głowę i rozejrzał się w około. Nie zobaczył widać nic podejrzanego, gdyż poruszył się bezszelestnie i postąpił parę kroków dalej.

Nagle gdzieś — z kądś doleciał mię ostry trzask — jakby od stąpania po suchej podłodze. Dosłyszał go też tajemniczy człowiek, gdyż jednym susem uskoczył w ciemniejsze miejsce i rozciągnął się na ścianie.

I znów trwał tak bez ruchu ze strachem na twarzy ale zaciętą okrutnością.

Widziałem już dobrze w półmroku korytarza i ciekawość moja zaczynała się teraz przerażać w strach i przeczucie czegoś niesamowitego.

W tym momencie, człowiek oderwał się od ściany, wyszedł z cienia i zbliżył się znów pod światło. I widziałem wyraźnie jak ręką sięgnął do kieszeni zniszczonego ubrania wyjmując ostrożnie długi, cienki nóż. Błysnął nim w świetle i spróbował jego ostrości. I równocześnie błysnął wzrokiem tak zachłannie, tak okrutnie, że wstrząsnęłem się cały od dreszczu i wstrętu.

Powinienem być wołać, ostrzec niewidzialną ofiarę przed zbrodniarzem — przeszkodzić tragedji. Lecz niestety — czułem że to nadaremno; czułem się tylko bezwolnym widzem mającej nastąpić zbrodni...

I widziałem dalej, jak człowiek ten wsunął się węzłowymi ruchami w głąb mrocznego korytarza — aż doszedł do małych, wąskich drzwi. Tu przyczaił się znowu i przyłożył ucho do dziurki od klucza. Stał tak nachylony przez dłuższą chwilę — poczem wyprostował się i zdecydowanym ruchem położył rękę na klamce. Jeszcze chwila i — nacisnął...

Drzwi otworzyły się bez szelestu. Wbrew memu przypuszczeniu nie były zamknięte kluczem!

Znalazłem się w dużym prawie pustym pokoju o zakratowanych oknach. Nie był to właściwie pokój, lecz raczej coś w rodzaju przedpokoju czy ubieralni przeznaczonej zapewne dla garderoby personelu jako tylne wyjście banku. Pod samym sufitem paliła się słaba żarówka rzucając dziwaczne odbłaski na czerwone ściany pokoju. Wołało ścian stały drewniane wieszadła, zaś pod oknem mały stolik i dwa krzesła. Na jednym siedział starszy siwy już człowiek. Musiał być dozorcą czy nocnym stróżem banku, gdyż na specjalnym rzemieniu przewieszonym przez jego ramię wisiały dwa pęki kluczy. Siedział oparty o stół łokciami, nachyliwszy głowę na rękę.

Drzemał...

Tajemniczy człowiek zamknawszy ostrożnie drzwi za sobą, kocim ruchem zrobił krok naprzód i zatrzymał się. Drapieżnie przegiął się wprzód, wyciągnął głowę przed siebie i... węszył drgającymi nozdrzami... węszył krew.

Widziałem jego zaciśnięte zęby i pięści. Widziałem też ogromny cień, który rzuciła jego postać na czerwone ściany pokoju.

Na tle tego czerwonego pokoju, z ogromnym własnym cieniem na ścianie, z wystającymi i zaciśniętymi szczękami, pochylony naprzód i gotowy do skoku, przedstawiał ten człowiek niezwykły obraz. Niby statua wyobrażająca uosobienie drapieżnego zła.

Byłem tak zajęty i przejęty obserwacją tego — że tak powiem — „brzydkiego piękna“ i tak podziwiałem z punktu artystycznego cały niezwykły

widok, że zapomniałem zupełnie o grożącym stróżowi niebezpieczeństwie.

Nagle człowiek — przechylił się nieco w tył i całą giętkością swego ciała skoczył — skoczył na drzemającego stróża. Ale równocześnie zaskrzypiała podłoga, stróż zerwał się, obrócił i zwał się z napadającym. W tej chwili przewróciło się krzesło a walczący zwalili się na podłogę. Sekundę potem stróż krzyknął, lecz głos nie zdołał jeszcze rozbiedz się echem i ścichł. Przez czas jakiś przewalali się obaj po podłodze, dysząc ciężko i charcząc a klucze pobrzękiwały sucho o siebie. Wtem — napastnik, uwolniwszy jedną rękę, błyskawicznym chwytem wyciągnął nóż, zamierzył się i uderzył.

Dozorca jęknął i bezwładnie opadł — a zbrodniarz odskoczył, popatrzał w około i nasłuchiwał. Pot oblewał mu całą twarz a on naraz stracił panowanie nad sobą. Bezmyślnie przypatrywał się ofierze — to przesuwając jakieś przedmioty na stole, to chwytając nóż, kładł go na podłodze lub chował do kieszeni. Wreszcie opamiętał się. Uśmiechnięty cynicznie schował do kieszeni leżącą na stole elektryczną latarkę i odpiął stróżowi klucze. Popróbowwał kilka z nich w drzwiach prowadzących do następnych ubikacji — otworzył i..... znikł w ciemnym pokoju...

Starałem się podążyć za nim, wypatrzeć go w ciemności — napróżno! Wzrok zamglił się — przestałem widzieć. Silny chłód przejmował mię dreszczem, oszałamiające znużenie wyczerpywało moje siły. Przed oczami zarysowały się niewyraźne kształty wysokich murów, — groźnych kwiatów i stojącego naprzeciw mnie tłumu ludzi. Do uszu doleciał mnie szum gwarne miasta i zarazem głos nieznanej osoby:

— Czy panu już lepiej? Może jeszcze wody?

Spojrzałem na mówiącego i rozejrzałem się po zgromadzonych. Ze zdziwieniem zobaczyłem sporą gromadę ludzi otaczających mię w około...

Wypiłem podaną sobie wodę i wstałem z ławki przyszedłszy już w zupełności do siebie.

— Dziękuję — rzekłem do pani, która podała mi wodę. — Jest mi już zupełnie dobrze — dziękuję pani bardzo!

Chciałem odejść — gdy jeden z panów zaofiarował się z odprowadzeniem.

Przyjąłem bardzo chętnie i odprowadzony przez niego aż do samego mieszkania, wyczerpany i pod strasznym wrażeniem wizjowanych okropności — zasnąłem.

Nazajutrz nie obudziłem się o zwykłej porze. Spałem dość długo a otwarłszy wreszcie oczy z ciężkiego snu, ujrzałem moją gospodynię wchodzącą ze śniadaniem i z takimi słowami:

— O panie! co się stało — co się stało tej nocy!

— Cóż takiego?

Przypomniałem sobie wizję i złe przeczucia przebiegły mię strachem.

— Więc cóż takiego? Niechże pani mówi.

— O panie! — panie, zamordowali go — zamordowali...

Usiadłem na łóżku z przerażeniem.

— Kogo zamordowali — gdzie?

— Dozorcę „Banku Powszechnego“! Dziś w nocy... w banku... a... a to był mój krewny — ten dozorca, tak dobrze znaliśmy się... Jest już nawet w dzisiejszej gazecie. Niech pan patrzy. O — tu — kończyła drżącym głosem podając mi „Gazetę Poranną“.

Wyrwałem jej prawie pismo i szybko przeczytałem:

„W ostatniej chwili dowiadujemy się, iż dzisiejszej nocy niewyśledzony sprawca zakradłszy się do „Banku Powszechnego“ zamordował dozorcę tegoż i skradłszy znaczną sumę, zbiegł“.

Skończyłem opowiadanie i pogрузiłem się w myślach pod wpływem niezwykłych wspomnień. Ciekawe to, ciekawe niesłychanie i przerwał mi rozmyślenia Łowiński.

Ale widzę, że pan coś spochmurniał i naturalnie z mojej winy, gdyż pana namówiłem do opowiedzenia tej historii... a wobec tego proponuję pójście do jakiej restauracji. Musimy się przecie „orzeźwić“.

Zgodziłem się z przyjemnością — tem bardziej, że do ojeścia pociągu brakowało jeszcze dwie godziny.

Koniec.

PALUGYAY SEC